

POWIEŚĆ: NOWELA

Rok XIX

Warszawa, dnia 10 Grudnia 1927 roku

Nr. 50

ANDRZEJ STRUG

13) UCZTA ZWYCIĘSTWA

Odepchnęła go ciżba pijacka, gwałt, karty. Skrzeszy Puzo, ryczą baraniami głosami: „Niech żyje nasza serdeczność”, chrapią pod stołami, rzygają po wszystkich kątach... Z jakąż rozkoszą napiłby się gorącego barszczu, ale włożyć z powrotem między tę tłuszczę... Otrząsnął się. Miał pełną duszę zjaw przepięknych i najszlachetniejszych — nie godziło się poniewierać siebie w takiej chwili. Dobrzy są chłopcy i nie masz nad nich lepszych, uczta była podniosła i serdeczna, ale to, co się tam teraz wyprawia — to już tylko samo czyste świństwo... On musi uszanować swój skarb — skarb nad skarby pomimo wszystko! Świętość...

Ogarnęło go rzewne wzruszenie. Opasał go płomień. Koń kręcił się pod nim znudzony i nagwałt zawracał do domu, rwał się w stronę Taraszkiewicz. Jakże tak? Jakże można?... Boże miłosierny, cóż z tego wyniknie?!

Przemógł się i jeszcze raz zawrócił konia i ruszył z miejsca. Po paru krokach kasztan, czując, co się święci, przystanął i kusił znowu. Niepodobieństwo! Bo cóżby to było...

I poczuł, że usypia słodko, mocno, jak w długim, nocnym marszu... Zagubił się na chwilę, utonął. Gdy się ocknął, kasztan szedł posuwistym szerokim chodem, naciągając powody i dzwoniąc w zębach mundsztukiem. Próbował stanąć, ale koń wygiął szyję, potrząchał uparcie łbem i rwał dalej. Osadził go, zawrócił i stanął. Nawpół z ciekawością, nawpół ze strachem czekał, co z tego wyniknie.

Szumiało, mąciło się w głowie, niby to prawda i niby to sen... Ogarniał go słodki bezwład, senność. Tylko na chwilę popuścił cugli i kasztan szybko, lekko obrócił się na zadnich nogach i z miejsca uderzył w kłus. Niósł cudownie szerokimi skokami, parszając raźnie z ochotą, jak koń, który zna swoją drogę i śpieszy do domu, do ciepłej stajni.

Puzo wszczął epicką opowieść — wiecznie tę samą, ale z nowymi ozdobami — o „znamienitym nabiegu” dzikiej („inorodczeskiej”) konnej dywizji na Czerniowce.

Siedział na stole, ciężąc ogromną swoją masą nad honorowym gościem, nikłym kulturalnym sztabowcem, bryzgał mu śliną prosto w oczy i gnębił go, odurzał potęgą głosu, grzmotami pijackiego śmiechu i waleniem pięścią w stół.

Opowiadał właściwie dla niego jednego, odwrócony tyłem do izby, gdzie za stołem tkwiło jeszcze

trochę wyjątkowo uporczywych pijusów, ale bas jego grzmiał po całej chacie, głusząc swary karciarzy, pijackie porywy i bełkotanie rozmów, oraz niemrawe, z gruntu fałszywe wysiłki kwartetu, który spleciony jednym uściskiem, wbity w kąt, wył głucho, po diadowsku, rozpoczynając oddawna i beznadziejnie „Za Niemen het precz”...

Sztabowiec cierpiał, ale zalany, obezwładniony wódką, przycupnął bezradnie zdręczony i spotniały, niczem pod obstrzałem ciężkiej artylerji.

— Zajechał ja przed tę karczmę z jednym wachmistrzem i jeszcze taki nie to chorunżij, nie to kornejik przy sotni u mnie był, polak z rodu też, razprojca i zabijaka, nazwiskiem Smykiewicz. Ten sam, partyzant, co o nim tyle było u nas gadania. Nu, zatrzymał ja konia pod oknem i „kozyriaju” kłaniam się grzecznie... We wszystkich oknach głowy — gęby czerwone, znać że wypiwszy — obiad oficerski. A ja im nadażył ku deseru! Ha - ha - ha!... Oczy wybałuszone, rozmiarów, powiedzmy, pięciu koron srebrem... Ordynansy odrazu zrozumieli, bo w mig się rozbiegli, konie łążą luzem, i nieźle były konie, tylko zapasione, sztabne.... A tu z jednego okna do mnie tak kroków na pięć dwa strzały — bac - bac! Ja się śmieję, pod boki się biorę! No i cisza, cicho, jak makiem siał... Wychodzi wreszcie, staje we drzwiach taki gruby, golony, po kołnierzu patrzę — major.... Zmarszczony, groźny, a boi się... Chce zagadać, ale pyski mu się trzęsą — nie może... Tedy ja ich wytrzymuję, przespokojnie zapalam sobie papierosa, pociągnę raz, wytrzymam jeszcze i dopiero do wachmistrza — Podawaj, Frołow! Jak nie świnię!... Sławnie on u mnie w uszy wiercił i to na palcach bez żadnego gwizdka, niczem sołowiej - razbojnik... Zawyło, zagałdięło za sadem, jakby się wilków odezwiała cała hurma — ruszyli, idą moi — ziemia drży... Już są! Nawaliła się sotnia z trzaskiem i wrzaskiem, z naszym gikanjem, jakiego jeszcze nie zaznały te austriackie uszy. Stoj! Jak tylko opadł kurz, jak zobaczają oni moich inguszów w papachach, w burkach, wszystko dzikie, kosmate, mordy zwierzęce, czarne, zakazane, tylko te ślepia a zęby im łyskają, a w zębach kindzały... Ho... ho... ho!... No, teraz z karczmy won — wychodź jeden z drugim — marsz! Żaden nie ruszył — boją się. Tedy ja z konia i do nich sam. Wchodzę, patrzę, izba ogromna, pełna oficerów... Wziął się ja — ot tak — pod boki i czekam. Niedługo ja czekał — generał najszanowniejszy, taki siwy, w orderach — bach na kolana przedemną a za nim wszyscy, jak po komendzie — cała izba! I co się okazało? Sztab kor-

pusu był! Tu jeszcze, trzeba dodać, mój Smykiewicz ot jaką sztukę wyrzucił...

— Panie pułkowniku, a ten Smykiewicz zginął — przerwał mu, ocknawszy się na tę porę, gość z Dołży-
na, major od piechoty, który od godziny już spał so-
bie spokojnie, wsparty głową na stole. Obudziło go
potworne walenie pięścią w stół, którem Puzo pod-
kreślał zabranie do niewoli sztabu korpusu.

— Jakże zginął? Przed tygodniem miałem od
niego list... Gdzie on panu miał zginąć, kiedy od mie-
siąca wszystko utknęło?... Głupstwo — taki nie zgi-
nie, takiego się kula nie ima. Inna rzecz, jeżeli wzglę-
dem kryminału. Na to zarobił sprawiedliwie... Pi-
sze on mnie — ratuj, pułkowniku, po starej pamięci,
zadekuj ty mnie koło siebie, ojciec rodzony, bo zginę
marnie przez to parszywe zawieszenie broni. Racja,
teraz dopiero zabiorą się do niego, będzie mu ciepło...

— Nic mu nie będzie, z ziemi go nie wykopią. Nie
żyje pański Smykiewicz i już.

— Taki on mój, jak i pana majora. A skąd panu
majoru przyszło, że z nim koniec? Plotki, a najprę-
dziej sam szelmiec rozpuścił o sobie przez swoich
ochotników — ot, nurknąć między ludzi i końce we
wodę, żeby go kanarki nie szukały. Zobaczysz pan,
za rok albo i za dwa wyda się, że żyje zdrów w jakiej
dziurze i służy komendantem policji albo i starostą.
Ja jego znam — to jest szelma! Ha - ha - ha!...

— Nie będzie starostą, panie pułkowniku. Przed
dziesięciu dniami na odcinku Uhwa - Koniuchy natknął
się o zmroku w lesie na nasz patrol i dostał postrzał
w brzuch. Ostrzelali ich nasi, bo szli w bolszewickim
przebraniu. Kto mógł wiedzieć? Tam też i skończył
Smykiewicz. Z jego ludzi większa część zawróciła
i uciekła, pięciu zostało na miejscu, a siedemnastu
wzięliśmy i trzymamy w pace — zbój w zbója. Do-
stał nam się i jego wachmistrz — prawa ręka...

— Cygan? Cygan dał się wziąć?!

— Konia pod nim ustrzelili, a i tak jechał ranny,
nieopatrzony od samego Skwirskiego. Wyrznęli poste-
runek sowiecki, komisarzy, zabrali kasę...

— W Skwirsku byli?! W samym - że Skwirsku?
Ot zuchy - młodcy! Byłby ja Piłsudski, jaby takie-
mu wszystko darował, jeszcze wynagrodził... Ot szel-
my! To był rejd — po naszymu, zaraz poznać, że
z dobrej dywizji!

— Nie lepiejby zrobił sam Kmicic!

— Kto taki?

— Kmicic, panie pułkowniku!

— To z jakiego będzie pułku?

Wśród hucznego śmiechu rzucił któryś:

— Panie pułkowniku, to z „Potopu”.

— Z Konotopu? — nie dosłyszał Puzo. Zdumio-
ny, obrażony wrzaskliwym szaleem, który wybuchł
w grupie oficerów, zsunął się ze stołu i natarł brzuchem
na pierwszego z brzegu małego podporucznika lotnika.

— Jak pan śmiesz w żywe oczy mnie, pułkowni-
ku?!... Co za nachalstwo?!

— Panie pułkowniku, melduję posłusznie, że ten
Kmicic dawno nie żyje, bo to z powieści Sienkiewicza.

— Z powieści? Dużo ich tych waszych powieści,
nie w powieściach rzecz. Napisać łatwo, a poprobu-
j taki pisarz, pójdź on na Skwirsk w pięćdziesiąt koni,
zrób on podobnie Smykiewiczowi...

— Tak jest, panie pułkowniku, co Smykiewicz to
nie Sienkiewicz.

— Dobrze powiedziane, panie podporuczniku, po
żołniersku!

— Sam Smykiewicz to powieść, jakiejby nikt nie
wymyślił. No i zakończenie zupełnie powieściowe, bo

i co on miał ze sobą robić? Koniec i kropka w samą
porę.

— Niech spoczywa w spokoju, dużo on nabroił,
A tak czy owak bohater był, ten bolszewikom sadła
za skórę zalał, popamiętają oni psubraty...

— Popamiętają go i inni. Jedna pani, polka,
dziedziczka, z pod Włodzimierza Wołyńskiego, aż do
Warszawy jeździła ze skargą — pięć razy ją Smykie-
wiczowscy rabowali....

— Nu i rabowali! Z czego na tę porę mieli żyć,
kiedy żadnego im zaopatrzenia nie wychodziło, a tyl-
ko żandarmi za nimi ganiłi, jak te psy?

— Z kanarkami on też potrafił żyć. Ha - ha - ha....
Dopadli go, panie pułkowniku, w Dobropolu i wach-
mistrz jemu papier pokazuje, nakaz aresztowania —
też się wybrał... Stary żandarm austriacki i pięciu
ludzi ze sobą miał, konno jak się patrzy i w hełmach...
Ha, ha, ha!...

— No i co?

— Cóż — widzi Smykiewicz, że sprawa ciężka,
westchnął sobie i zadumał się w smutku, miał on nad
czem pomyśleć. A tymczasem jego Cygan zarządza
zbiórkę — wali cała gromada. Żandarmy, zobaczyw-
szy zbliżać się, dali spokój i chyłkiem —
do koni. No — nie! Wychodzi Smykiewicz smutny,
zamyślony i powiada — tak i tak — żegnajcie chłop-
cy, jestem aresztowany. Krzyk — gwałt — na ga-
lę z żandarmami! Nie damy pana rotmistrza — ro-
tmistrzem on wtedy był, oczywiście z własnej nomina-
cji, póki się sam nie zweryfikował później na majora.

— Onby się był poddał, odsiedziałby swoje parę
lat, odtraconoby mu za męstwo, adwokaci by go wy-
kręcili na warjata i tak dalej, ale banda go od siebie
nie puszczała, co by oni poczęli bez szefa? Wyłapa-
noby ich co do jednego.

— Jeszcze przed paru miesiącami mogli sobie by-
li przejść do bolszewików, ale chcąc się odbić na opi-
nii, nabroili za ten czas tyle, że nie mieli po co poka-
zywać się u czerwonych.

— No i co dalej?

— Żandarmom rura zmiękła, przepraszają, bła-
gają, żeby ich puścić wolno. No i poszli z Bogiem
do domu — ha - ha - ha!...

— Piechotę ich puścili, a konie zabrali?

— Zabrali hełmy, buty, portki... I koszule i ga-
cie.... Wypuścili ich w drogę gołych, jak ich matka
urodziła....

— No!...

— Ha - ha - ha!...

— Poczekajcie panowie... Ustawili ich gęsiego
jednego za drugim, wachmistrz na czele... Powiązali
ich za szyje ich własnymi żółtymi sznurami, a na prze-
dzie orkiestra żydowska, zdychając ze strachu, rżnie
wesołe kawałki...

— Cudowne...

— Nie, to fantazja, już za to samo jedno...

— Poczekajcież panowie, do diabła, dajcie skoń-
czyć! Było ich razem z wachmistrzem sześciu chłop-
a — każdy na odchodnym dostał do rąk klatkę...

— Klatkę?

— Co za klatkę?!

— A w każdej klatce — kanarek, albo i dwa....
Muzyka rżnie — kolumna naprzód marsz!

— Ho - ho - ho!....

— Ahahaha!.... Ahahaha!....

— Skądże, u diabła, nabrał tych kanarków?

— Rozesłał ludzi po miasteczku, u żydów zare-
kwirował...

— Morowo!

— Ho - ho - ho!...

(D. c. n.).

WSPÓLNİK

George zamiast go wyprawić do wszystkich djabłów, stracił głowę. „Nie znam pana. Czego pan chce odemnie?” zawołał i wbiegł na górę do Cloete'a. „Widzisz, na co nas naraziłeś”, wyrzekł zadyszany. „Jesteśmy teraz na łasce tego nicponia”. Cloete usiłował wytłumaczyć mu, że nic im Stafford nie robi, ale George, obawiając się skandalu, zaczął zaklinać się, iż nie może żyć pod takim ciągłym strachem. Cloete byłby go poprosił o wyśmiał, gdyby go już to wszystko nie było znudziło. Nagle, pod wpływem niespodziewanej myśli, zmienił ton: „Zresztą, to niemożliwe. Zejdę na dół i odprawię go”. Powróciwszy po chwili, rzekł: „Poszedł sobie. Może masz i rację, Stafford jest w ciężkim położeniu, a taki człowiek gotów jest popełnić jakiś czyn rozpaczliwy. Najlepiej byłoby go wyprawić na pewien czas z kraju. Biedak ten rzeczywiście potrzebuje gwałtownie posady. Tym razem niewiele wymagam od ciebie: tylko, abyś trzymał język za zębami, a ja spróbuję namówić twego brata, aby go przyjął na posadę pierwszego oficera”. Usłyszawszy to, George ukrył twarz w dłoniach i oparł ją na biurku; Cloete'owi żal się go zrobiło. Jednocześnie czuł się zadowolony, bo dodał ducha Stafford'owi. Tego samego dnia popołudniu kupił mu granatowe ubranie, mówiąc mu, że musi się zabrać do roboty, aby zarobić na życie; najlepiej robi, wstępując jako pierwszy oficer na Sagamore'a. Nicpoń niebardzo miał na to ochotę, lecz nie mając co jeść i gdzie spać, wystraszony groźbami wdowy, że zadenuncjuje go policji, nie miał wyboru. Cloete zajmował się nim przez dwa dni. „Układ nasz zobowiązuje nas w dalszym ciągu. Statek popłynie teraz do Port Elisabeth—nie jest to bynajmniej bezpieczna przystań. Gdyby przypadkiem statek podczas północno-wschodniego wiatru zerwał się z kotwicy i rozbił się na brzegu, jak to się często zdarza, będzie pan miał pięćset funtów w kieszeni i wróci pan natychmiast do domu. Zgadza się pan?”

Nasz Stafford wysłuchał tego ze spuszczeniem oczami. — Jestem doświadczonym marynarzem, — rzekł swym nieśmiałym, skromnym głosem. — Pierwszy oficer ma ciągle do czynienia z łańcuchami i kotwicą. — Na to Cloete grzmotnął go w plecy: „Mój zacny marynarzu, idź więc i działaj”.

Wkrótce potem George dowiedział się od brata, że ten wyświadczył pewną przysługę jego współnikowi. Bardzo był z tego zadowolony, gdyż niesłychanie go polubił. Otóż Harry przyjął na statek jednego z przyjaciół Cloete'a na stanowisko pierwszego oficera. Człowiekowi temu nie wiodło się: przez rok blisko musiał pozostawać na lądzie dla pielęgnowania umierającej żony. Podupadł bardzo. George oświadczył z żywością, że osobnik ten nie jest mu wcale znany. Widział go raz tylko. Powierzchności nie ma zachwycającej. Na to kapitan Harry odparł, jak zwykle, pocziwie: „Tak, istotnie, ale trzeba przecież biedakowi dopomóc”.

Stafford udał się na statek, będący w doku. Zdaje się, że z myślą o Port Elisabeth udało mu się coś zmaistrować przy jednej z lin. Robotnicy zajęci przy olinowaniu statku wydobyli wszystkie liny na pokład dla oczyszczenia komory łańcuchowej. Nowy

oficer, upewniwszy się, że poszli na obiad na brzeg, wysłał dozorcę ze statku po butelkę piwa. Wówczas zabrał się do usunięcia nitu w jednym z ogniów, uderzył parę razy młotkiem i lina przestała być pewną. Robotnicy powrócili do olinowania, ale wiadomo, jak pracują: byleby dnie schodziły, a Pan Bóg prędzej zesłał niedzielę. Linę spuszczone do komory łańcuchowej, a dozorca nie spojrzawszy nawet na ogniwa. Co go to może obchodzić! Nie popłynie przecież sam na tym statku. W dwa dni później Sagamore był już na morzu.

Byłem na tyle nieostrożny, że w tym miejscu wyrwało mi się znów: — Rozumiem! — Mój kompan obraził się i szorstko odburknął tak, jak za poprzednim razem: — „Nie, nic pan nie rozumie! — Lecz podczas tej przerwy przypomniał sobie o piwie, które stało tuż koło jego łokcia. Wypił połowę szklanki, obtarł wąsy i zauważył opryskliwie:

— Niech pan nie wyobraża sobie, że w tem opowiadaniu będą sceny z życia morskiego, nic podobnego. Jeśli pan chce sam coś dodać, należałoby to teraz pomieścić. Przypuszczam, że pan ma pojęcie, jak wygląda dziesięć dni niepogody na kanale La Manche. Bo ja nie wyobrażam sobie tego zupełnie. W każdym razie dziesięć dni upłynęło. Pewnego poniedziałku Cloete, spóźniwszy się trochę do biura, usłyszał w pokoju George'a głos kobiety. Zatrzaszawszy tam, zobaczył biurko i podłogę, zarzuconą gazetami, na krześle siedziała żona kapitana Harry'ego z zaczerwienionymi oczami, torba podróżna stała obok niej. „Spójrz”, rzekł do niego George, ogromnie zdenerwowany, pokazując mu gazetę. Serce Cloete'a zabiło żywiej. Ha! Rozbicie statku w zatoce Westport'u. Sagamore rozbił się w niedzielę o wczesnej porze, tak, że dziennikarze mieli czas upiększyć opis. Zapelnili nim całe kolumny. Łodzie ratunkowe wyjeżdżały dwukrotnie. Kapitan i załoga pozostali na statku. Wezwano na pomoc holowniki. Jeśli pogoda będzie sprzyjać, jest nadzieja uratowania tego pięknego, ogólnie znanego statku. Pan wie, jak to gazety potrafią opisać. Żona kapitana wstąpiła tu na chwilę w drodze na stację. Miała jeszcze przed sobą godzinę czasu.

Cloete odprowadził George'a na stronę: „Tam, do diabła, statek znów uratowany. Nie należy do tego dopuścić”. George spojrzawszy na niego zaskoczony; żona kapitana wciąż szlochała z cicha: „Powinam była z nim pojechać. Teraz muszę czemprędzej dostać się do niego”. „Pojedziemy wszyscy razem”, zawołał nagle Cloete. Wybiegł pośpiesznie, aby kapitanowej przysłać filiżankę gorącego buljonu ze sklepu naprzeciwko, kupił dla niej koc, pomyślał o wszystkim; w pociągu otulał ją i całą drogę zabawiał rozmową o tem i o owem, niby to dla podtrzymania w niej ducha; rzeczywiście nie posiadał się z radości. Wypadkiem stało się to, czego pragnął; nic nie będą potrzebowali zapłacić. Stało się, naprawdę się stało. W głowie mu się kręciło, gdy o tem pomyślał. Co za szczęście! Oszalał! Miała ochotę skakać i śpiewać z radości. George Dunbar tymczasem siedział w kącie z tak nieszczęśliwą twarzą, że, aż wreszcie kapitanowa zaczęła mu dodawać otuchy i, opowiadając, jak Harry jest

ostrożny, sama się pocieszyła; tłumaczyła mu, że kapitan nie narazi na niepotrzebne niebezpieczeństwo ani siebie, ani załogi i wiele tym podobnych rzeczy.

Jak tylko przyjechał do Westport, dowiedzieli się na stacji, że łódź ratunkowa jeszcze raz dopłynęła do statku; przywiozła porucznika, który był ranny i paru marynarzy. Kapitan z resztą załogi, razem około piętnastu ludzi, pozostał na statku. Holowniki oczekiwane są lada moment.

— Zawieźli żonę kapitana do zajazdu, znajdującego się prawie naprzeciw skał; pobiegła wprost na górę, aby spojrzeć przez okno i głośno krzyknęła, ujrzawszy rozbity okręt. Zaczęła tłumaczyć, że nie będzie spokojna, dopóki nie dostanie się na statek, do męża. Cloete starał się ją uspokoić, jak mógł. „Doskonałe, niech pani przekasi cokolwiek i pójdziemy się czegoś dowiedzieć.

Wyprowadził George'a z pokoju. „Posłuchaj! Ona nie może popłynąć na statek, ale ja tam pojedę. Dopilnuję, aby kapitan nie pozostał na okręcie zbyt długo. Chodźmy poszukać retmana łodzi ratunkowej”. George wyszedł z Cloete'm. Od czasu do czasu wstrząsały nim dreszcze. Fale zalewały dawne molo; wiatr nie był silny, ponad przystanią zawisło dzikie, ponure niebo. Na całym widnokręgu widoczny był tylko holownik, kierujący się na morze, podrzucany co chwila w górę i nadół z regularnością wahadła.

Odnaleźli retmana, który mu rzekł: „Tak, wyruszamy znów na morze. Na statku nie grozi im jeszcze niebezpieczeństwo. Ale słaba jest nadzieja wyratowania go. Jednak o ile wiatr się nie wzmoże, a fala się zmniejszy, spróbujemy go ratować”. Po krótkiej rozmowie zgodził się zabrać ze sobą Cloete'a pod pretekstem, że ten musi zakomunikować kapitanowi ważną wiadomość od właścicieli statku.

Otucha wstępowała w serce Cloete'a, ile razy spoglądał na niebo, takie było groźne. George Dunbar szedł za nim, blady i milczący. Cloete namówił go na jeden i drugi kieliszek, a od czasu do czasu rzucał mu słówko pociechy. „Teraz jest ci lepiej”, mówił mu. „Niech mnie diabli porwą, jeśli przedtem nie miałem wrażenia, że idę z nieboszczykiem. Powinieneś, mój stary, krzyczeć z radości. Ja mam chwilami ochotę tańczyć z uciechy po ulicy. Statek się rozbił, twój brat ocalał, a my jesteśmy bogaci!”

„Czy tylko jesteś pewien, że statek przepadł na dobre?”, zapytał George. „Bo to byłoby dla mnie okropne, gdybym miał znów przechodzić przez te straszne moralne udręki, które przeżyłem od chwili, gdy zacząłeś mnie na to namawiać, a gdyby statek ocalał, znów by mnie kusiło... My przecież do tego rozbicia nie przyczyniliśmy się w niczem?”

„Naturalnie, że nie”, odparł Cloete. „Twój brat sam dowodził statkiem. To było opatrnościowe....” „Och!” oburzył się George. „Możesz nawet dowieść, że to diabeł temu winien”, zawołał wesoło Cloete. „Mnie tam wszystko jedno! A ty w tej sprawie jesteś niewinny, jak nowonarodzone dziecko, ty głuptasie!” Cloete poczuł prawie miłość do George'a Dunbar'a. Tak, tak. Nie znaczy to, aby go szanował, lecz miał słabość do swego współnika.

Wrócili do hotelu, podskakując prawie z radości i zastali żonę kapitana w otwartym oknie, z oczami wlepionymi w statek, jak gdyby chciała przefrunąć ponad zatoką. „Pani nie może popłynąć na statek” — zawołał Cloete, „ale ja tam pojedę. Czy pani

nie ma jakich poleceń? Niech pani się nie wstydzi, wszystko powtórzę wiernie mężowi. A jeśli pani chce mi dać dla niego buziaka, niech mnie pioruny, jeśli mu go nie oddam!”

Gadaniem swoim pobudził kapitanową do śmiechu. „Drogi panie Cloete, pan jest roztropny i spokojny. Niech pan wpłynie na niego, aby zachowywał się rozsądnie. Pan wie, że on jest trochę uparty i taki przywiązany do statku! Niech pan mu powie, że ja tu jestem i patrzę na niego”. „Może pani liczyć na mnie. Niech pani tylko zamknie okno i będzie grzeczna. Napewno pani się zaziębi, albo może pani się już zaziębiła; kapitan nie będzie zadowolony, jeśli ocalawszy z rozbitego okrętu, zastanie panią taką kaszlącą i kichającą, że nie będzie pani w stanie mu powiedzieć, jak się pani cieszy z jego powrotu. A teraz poproszę panią o kawałek tasiemki dla przywiązania moich binokli do uszu i zaraz wyruszam”.

Nie wiem, jak się odbywa przeprawa na statek. Cloete zjawił się tam mokry, zdenerwowany, podniecony. Statek leżał na boku, zbryzgany pianą, poruszając się tylko tyle, ile potrzeba dla podniecania nerwów. Cloete zastał całą załogę, skupioną na przednim kasztelu w lśniących, ceratowych kaftanach, z twarzami ciężko chorych ludzi. Kapitan Harry nie wierzył własnym oczom: „Co ja widzę? pan tu, panie Cloete? Na miłość Boską, co pan tu robi?”. „Pańska żona jest tam, na brzegu, patrzy na pana”, dyszał Cloete; po chwili rozmowy kapitan Harry doszedł do przekonania, że ze strony współnika brata ten przyjazd brata to dowód wielkiej odwagi i dobroci. W dodatku ucieszył się, że może z kimś porozmawiać. „Źle z nami, panie Cloete”, mówił ku wielkiej radości Cloete'a. Kapitanowi zdało się, że zrobił, co mógł, ale lina zerwała się, gdy chciał zakotwicować statek. Ciężko stracić statek, ale usiłował to znieść mężnie. Wzdychał tylko chwilami. Cloete żałował prawie, że przyjechał, gdyż widok tonącego statku legł mu ciężarem na piersiach. Ukryli się przed wiatrem pod lewostronną łodzią, w pewnej odległości od załogi. Łódź ratunkowa odpłynęła z powrotem, pozostawiwszy Cloete'a na statku, ale z przypływem miała powrócić po załogę, jeśliby się nie udało puścić statku na wodę. Zmierzch zapadał; krótki dzień zimowy; niebo ciemne; wiatr. Kapitan był bardzo melancholijny: „Niech się dzieje wola Boża. Jeśli już tak ma być, to niech statek pozostanie na skałach. Człowiek musi się odważnie poddawać wyrokowi Najwyższego”. Nagle głos mu się załamał i, ścisnąwszy ramię Cloete'a, szepnął: „Zdaje mi się, że nie zdołam nigdy porzucić mego statku”. Cloete spojrzał na marynarzy zbitych w stado, jak wystraszone owce i pomyślał: „Nie zechcą pozostać”. Nagle statek wzniósł się nieco i opadł z silnem wstrząśnieniem. To przypływ. Wszyscy zaczęli wyglądać, czy nie dojrzą łodzi ratunkowej. Niektórzy zobaczyli już ją i dwa holowniki. Lecz burza znów się wzmożła, a cała załoga wiedziała, że żaden holownik nie odważy się teraz zbliżyć do statku.

„To koniec”, rzekł z cicha kapitan, a Cloete pomyślał, że nigdy jeszcze w życiu nie było mu tak zimno. „Życie stało mi się obojętne”, szeptał dalej kapitan. „Żona pana jest na brzegu, patrzy w tę stronę”. „Tak, to musi być dla niej okropny widok patrzeć na ten nasz stary, biedny statek, leżący na boku. To był nasz dom”.

(D. c. n.).